

Okrzesik: Jestem czechofilem

Data publikacji: 27.01.2011 7:30

□

- Urodziłem się trzydzieści kilometrów od granicy z Czechosłowacją, w młodości jednak Czechosłowacja nigdy mnie nie interesowała, nie znałem nawet żadnego Czecha – mówi nam Janusz Okrzesik.

Dziś jest prezesem TS Podbeskidzie. Wieloletni parlamentarzysta: poseł w latach 1989-1991 i senator w latach 1993-2001. Był bielskim radnym. Politolog, wykładowca akademicki, członek Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej. Redaktor (wraz z Małgorzatą Kaute) książki „Obywatele dyplomaci. Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka w Cieszynie i Bielsku-Białej” (Bielsko-Biała, 2009).

Łukasz Grzesiczak: Kiedy pierwszy raz dowiedział się Pan o „Karcie 77”?

Janusz Okrzesik: Zaskoczę Pana, ale poznałem ją dość późno. Kiedy w roku 1981 wprowadzono w Polsce stan wojenny miałem jedynie siedemnaście lat, wówczas „Karta” niewiele mnie obchodziła. Być może w ogóle o niej nie wiedziałem. Dopiero w pierwszej połowie lat '80, w czasie moich studiów w Krakowie zrozumiałem czym „Karta 77” naprawdę była. Zaczytywałem się wtedy w „Krytyce” i chyba tam właśnie po raz pierwszy napotkałem o niej informacje.

Gdy dziś rozmawiam z wieloma znajomymi z tamtych lat, uświadamiamy sobie jak bardzo nasza granica państwowa w tamtych czasach była szczelna, jak mało o sobie wiedzieliśmy. Urodziłem się trzydzieści kilometrów od granicy z Czechosłowacją, w młodości jednak Czechosłowacja nigdy mnie nie interesowała, nie znałem nawet żadnego Czecha. Moje zainteresowanie kulturą czeską wzięło się dopiero z polityki. To przez politykę odkryłem same Czechy. Stało się to dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy rozpoczęliśmy bezpośrednie kontakty z czeskimi rówieśnikami, którzy byli zaangażowani w działalność opozycyjną.

Jakie było Pana pierwsze wrażenie po lekturze „Karty”?

Rozczaruję Pana. Wiem, czym jest ten dokument, znam jego treść, ale w oryginale nie czytałem go do dzisiaj. Nie czułem takiej potrzeby. Wtedy działały na mnie teksty Vaclava Havla. Klasyka.

Skąd zatem wzięło się Pana polityczne zaangażowanie?

Momentem zwrotnym był dla mnie stan wojenny. Nigdy nie byłem szczególnie zaangażowany w „Solidarność”, zwyczajnie byłem wtedy za młody. Jednak stan wojenny wywołał we mnie gwałtowną reakcję: złości i niezgody. To był odruch moralny, nie było w tym absolutnie żadnego wyrachowania, żadnych planów na przyszłość. Pomyślałem wówczas, że jeśli ktoś zrobił mi świństwo, muszę jakoś zareagować – jestem typowym przedstawicielem pokolenie stanu wojennego.

Na początku wydawałem prasę podziemną. W roku 1987 w naszych gazetach pojawiły się pierwsze teksty o czeskiej opozycji, które notabene pisałem sam, choć zupełnie nie pamiętam skąd czerpałem informacje. Znałem już wówczas Radka Gawlika i Zbyszka Janasa – musiała to być zatem ich inspiracja. Impuls z Warszawy lub Wrocławia.

Kolejno pojawiały się teksty o zanieczyszczeniach na granicy, potem o Petrze Pospíchalu (czeski publicysta, członek Komitetu Obrony niesprawiedliwie prześladowanych - VONS, sygnatariusz Karty 77 i działacz Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej. W Polsce zbierano podpisy pod listem do władz, w którym żądano jego uwolnienia – ŁG), którego osobiście poznałem dopiero parę lat temu. Na teksty te natrafił Jerzy Kronhold, znany właściciel cieszyńskiego antykwariatu, w którym pojawili się ciekawi ludzie chcący kupić nielegalne wydawnictwa. Przez ów antykwariat skontaktowali się ze mną czescy opozycjoniści i tak wszystko się zaczęło.

Jaka wówczas przyświecała temu filozofia?

Nigdy nie byłem myślicielem politycznym, nie będę zatem udawał go po latach... Pan pyta o motywy działania, konkretne przemyślenia. Ja natomiast, sięgając pamięcią do tamtych czasów, mam wrażenie, że to po prostu się „działo”. Taki był czas, byłem w tym miejscu i w tym czasie, w którym wydarzyła się rewolucja. I wziąłem w niej udział.

Zajmowaliśmy się tutaj głównie sprawami informacyjnymi, interwencją w obronie uwięzionych ludzi lub skażenia rzeki Olzy. Proszę pamiętać, że zupełnie inną perspektywę działania mieli wówczas ludzie z dużych ośrodków uniwersyteckich. Myśmy wydawali tutaj magazyn dla – sam nie wiem dla kogo - dla robotników? Dla młodzieży szkół średnich? Nawet studentów ciężko było tutaj znaleźć w tamtych czasach. Gdy napisaliśmy o zatruciu Olzy znalazło to szeroki oddźwięk. Wzmianki na ten temat pojawiły się w oficjalnej prasie, co w tamtych czasach było ewenementem. To było dla nas istotne.

Gdy chodzi natomiast o światopogląd, oczywiście czytałem Kunderę, do dzisiaj czytam Hrabala, jestem zakochany w prozie Oty Filipa. Nawet nie przeszkadza mi, iż ten ostatni był donosicielem. Czeska literatura jednak nie bardziej mnie wówczas zajmowała niż rosyjska. W tej chwili oczywiście jestem absolutnym czechofilem: fanem literatury, filmów, ale myślę, że to przyszło raczej tuż po polityce. Najpierw były kontakty polityczne, później dopiero kultura.

Chce mi Pan powiedzieć, że był to pewien rodzaj konieczności heglowskiego ducha historii?

Owszem, było w tym coś z metafizyki. Współpraca z Czechami rozpoczęła się od prostej fascynacji. Kiedy Czesi przyjechali do mnie, nie mogli znaleźć mojego mieszkania. Przeszli całą ulicę Komorowicką w Bielsku- Białej, zaszli z ciężkimi plecakami, aż do Komorowic i z powrotem, sześć kilometrów, przyszli do mnie tacy zziębnięci, zmęczeni. Zobaczyłem długowłosych chłopaków - ja wtedy nosiłem bardzo długie włosy - ich włosy były jeszcze dłuższe. Zobaczyłem ich, zobaczyłem, że się rozumiemy, że oni rozumieją po polsku, znają polską muzykę, polską literaturę, że czytają, że oglądają to co ja, że są zakochani w Polsce. To byli tacy sami ludzie jak ja, z ich strony to był świadomy wybór, to bardzo mi się spodobało. Tak naprawdę chodziło nam wówczas tylko o to, żeby poszerzyć przestrzeń wolności wokół siebie. Nie mieliśmy żadnych innych planów. To nie była polityka sensu stricto, to była jeszcze prepolityka. Chodziło o to, by nam pozwolili żyć tak jak chcemy. Nic więcej. A rok później byłem już posłem.

Rozmawiał Łukasz Grzesiczak

W niedzielę (30 stycznia) ukaże się druga część wspomnień Janusza Okrzesika.